ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 28. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 18 sierpnia 1929.

WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA

KOLONJE LETNIE RADY SZKOLNEJ m. st. WARSZAWY.



Grupa dziewczynek z kolonji letniej w Małkini.

WANDA WRÓBLEWSKA.

KŁOPOTY I TROSKI RODZICÓW.

Wakacje zbliżają się ku końcowi. Młodzież wypoczęta, spalona na słońcu skwarnych dni lata, skąpana w nurtach rzecznych, świeża i rzeźka wraca w szare mury miasta, by z wolności, jaką daje wieś z wszystkiemi swemi pięknemi powabami, zasiąść na twardej, niewolniczej ławie szkolnej.

Myśl, szybująca wędrownemi szlakami, radosna, beztroska, musi się już skupić w powagę, by móc wypełnić obowiązki, jakie nakłada szkoła. Rodzice muszą ekwipować do szkoły powracające z letniska dzieci. Szkoła zaś wydaje się niejednemu z uczniów klatką, w którą zamykają go na długie miesiące; nie każdy zdaje sobie sprawę, że po wyjściu z niej, otwiera się szeroki, bogaty i o tyle piękny świat, o ile potrafią sami sobie radosne życie w nim ułożyć.

Szkoła wskazuje drogę do radości i piękności życia. Pojmują to rodzice i dlatego wielką troską ich i staraniem jest umieścić dziecko w szkole; wiedzą, że łączą się z tem koszta i wydatki, ale nie żałują na naukę pieniędzy, bo doskonale się orjentują, że wydany kapitał na szkołę dla dziecka przyniesie im wielki procent, gdy w starszych latach zobaczą syna swego, czy córkę na dobrej posadzie, umiejących należycie pracować. Ile to radości w sercach rodzicielskich, ile dumy w duszach, gdy widzą, że trudy i kłopoty nie poszły na marne, bo z dzieci wyrośli mądrzy, kulturalni ludzie, przynoszący dobro nietylko samym sobie, lecz i innym.

Nie dla siebie wychowują rodzice dzieci, lecz dla przyszłości, wykuwającej coraz nowe wartości dla świata i ludzi, żeby wszystkim było lepiej.

Wielkie troski i kłopoty wiążą się z posłaniem dzieci do szkoły: trzeba należycie, w myśl przepisów, ubrać dziecko, trzeba kupić książki, zeszyty, teczkę, pomoce naukowe i t. p., — a cały splot tych kłopotów pieniężnych właśnie teraz się zbliża.

Niejedna matka westchnie głęboko, skąd wziąć na to wszystko, wszak dzieci kilkoro, nie można żadnemu przerywać nauki, nie posłać do szkoły — trapi się serce matczyne, a myśl ojca okrywa się wielką troską nad wynalezieniem sposobu, by pieniądze na czas rozpoczęcia roku szkolnego znaleźć.

Poważne to kłopoty, głęboka troska. Lecz czegóż nie dokona dobra wola rodziców i szkoły razem!

Trzeba tylko zespolenia, wzajemnego zrozumienia. Wiadomo, trudno rodzicom wydać odrazu kilkadziesiąt złotych; jest na to rada dla rodziców i dla szkoły.

Rodzice winni tygodniowo przy otrzymywanych zarobkach obowiązkowo odkładać 2 — 3 — 4 złote, — kto i ile może, postanawiając pieniądza tego nie naruszyć na nic, — to „tabu", którego czasowo tknąć nie wolno, ani wydać. Zaoszczędzone co tydzień, czy co dwa tygodnie pieniądze przeznaczyć na wydatki szkolne; przez szereg tygodni i miesięcy nie spostrzegą, jak poważną sumę, nie obciążając domowego budżetu, zbiorą. To wysiłek ze strony rodziców.

A szkoła, jak ma pomóc?

Winna z początkiem roku szkolnego sprowadzić na kredyt książki z Komisji Opiek Szkolnych, która udziela kredytu na 3 — 4 miesiące, prócz tego daje procent, pozwalając najuboższym nabywać za grosze potrzebne książki.

Kooperatywa uczniowska — sklepik — sprowadzi zeszyty, bloki, teki, pióra, kredki, farby, plastelinę, nożyczki, linijki i t. p. pomoce, dając wszystkim uczniom jednakowy towar, po jednakiej cenie, na kredyt.

Tym sposobem każdy uczeń we wszystko odrazu, co mu potrzebne, jest zaopatrzony. Rodzice winni na początek wnieść to, co mają zaoszczędzone, co mogą, a więc 10 — 20 złotych (mniej lub więcej, zależnie od możności). Rodzice winni ze szkoły otrzymać na specjalnych druczkach (u nas w szkole mają gotowe takie druczki) spis wybranych przez uczniów książek, zeszytów i t. d. z wymienioną ceną na każdą poszczególną rzecz. Wszystko się to potem zsumuje, potrąci wniesioną kwotę przez rodziców, i wręcza się jedną kartkę rodzicom, drugą pozostawia w szkole do całkowitego uregulowania.

(D. n.).



Basen w ogródku im. Jordana przy ul. Bagatela.

PAULINA TYTELMANOWA.

OGRODY DLA DZIECI.

Wiek XX-ty nazwany jest „wiekiem dziecka“ i słusznie: oczy całego cywilizowanego świata śledzę z uwagą rozwój duszy i ciała dziecięcego. Każdy radby dziecku, na każdym kroku, pomóc, pokładając w niem najśmielsze swe nadzieje. Pierwszym zaś i nieodzownym warunkiem normalnego rozwoju przyszłego człowieka jest jego zdrowie.

Cóż lepiej działa na zdrowie dzieci, jak słońce, czyste powietrze i wolna, niczem niekrępująca przestrzeń? Nawet dobrze odżywiane dzieci, pozbawione jednak słońca i powietrza, źle się rozwijają, są ociężałe, bardziej podatne na wszelkie choroby, a w razie takowej — mniej odporne!

W zupełnem zrozumieniu powyższego, cały cywilizowany świat urządza u siebie w miastach ogrody dziecięce. Celem tych ogrodów jest dać dziecku wolną przestrzeń do zabawy i odpowiednie do tego urządzenia na świeżem powietrzu, co doskonale sprzyja jego rozwojowi fizycznemu i moralnemu.

U nas, w Warszawie, też są ogródki dziecięce im. Raua, zaś dnia 15 czerwca r. b. nastąpiło oficjalne otwarcie nowego ogródka dziecięcego im. Jordana, przy ul. Bagatela. Uroczystości otwarcia dokonali p. prezydent m. Warszawy, oraz wielu innych dostojnych gości. Ogródek ten, to naprawdę maleńki światek dziecięcy! Wszelkie urządzenia, oraz ogólny estetyczny wygląd tego ogródka odpowiada ostatnim wymaganiom techniki. Kierowniczką tego ogródka jest p. Śliwerska, która przy pomocy jeszcze instruktorek i odpowiednio wyszkolonej służby stara się czas pobytu dzieci, od godz. 9 — 2-ej i od 4 — 7-ej pop. (prócz niedziel), uprzyjemnić i dodatnio wpłynąć na ich rozwój fizyczny i umysłowy.

Dzieci, uczęszczające do tego ogródka, muszą być zapisane u kierowniczki, która za minimalną opłatą wydaje odpowiednie legitymacje, sprawdzane przez woźnych przy wejściu. W ogródku są 2 szatnie: dla chłopców i dla dziewcząt, umywalnie, natryski, ubikacje i ja-

dalnia, gdzie dzieci spożywają przyniesiony z sobą posiłek. Dzieci są podzielone, podług wieku, na 3 grupy.

Codziennie zrana o godz. 10-ej wyznaczone



„Drabinka" i „wąż" w ogródku im. Jordana przy ul. Bagatela.

dzieci rozwijają automatycznie sztandar, śpiewając przytem odpowiednie piosenki, następnie zaczyna się zabawa pod kierunkiem wykwalifikowanych instruktorek, które organizują w każdej grupie gry i zabawy, rozdając dzieciom zabawki, będące własnością ogródka. I tak: jest tam tenis, różne piłki, skakanki i t. p., które po ukończeniu zabawy wracają do składu zabawek. Maleńki basen, do którego 2 razy dziennie woźny napuszcza świeżą wodę, służy dzieciom do pływania i kąpieli w upalne dni. Pozatem są różne huśtawki, urządzenia gimnastyczne i zjeżdżalnie. Zjeżdżalnie są urządzone w ten sposób, że z jednej strony dzieci wchodzą po drabinie, z przeciwległej zaś strony ześlizgują się, siedząc, po spadzistej, wypolerowanej desce na ziemię. Jest tam także zjeżdżalnia, kręcona, podobna z budowy do maleńkiej wieżyczki; wchodzi się również, jak na poprzednie zjeżdżalnie, po drabinie, na wierzchołku której jest mały taras i zjeżdżają po niej dzieci po spadzisto-kręconej powierzchni na sam dół. W razie upadku, dziecku też nic złego stać się nie może, gdyż naokoło usypany jest miękki piach. Liczne kwiatki, trawniki, osłonięte tarasy na wypadek niepogody, lub chroniące od zbyt palącego słońca, na odpowiednich dystansach umieszczone ławeczki i kosze uzupełniają niezwykle miły ogródek, okolony ze wszystkich stron wysokiem, murowanem ogrodzeniem.

Nad zdrowiem dzieci czuwa lekarka wraz z higjenistką.

Jest rzeczą niezmiernie ważną, aby w możliwie krótkim czasie powstały takie ogródki we wszystkich dzielnicach stolicy, upośledzonych pod względem zdrowotnym. Park Traugutta, pomimo, że jest bardzo ładny, naraża dzieci na różne niewygody: w upalne dni niema schronienia przed palącem słońcem, nigdzie drzewa, ani cienia, zaś w wietrzne dni, piach zasypuje oczy, a nadewszystko niema ubikacji!

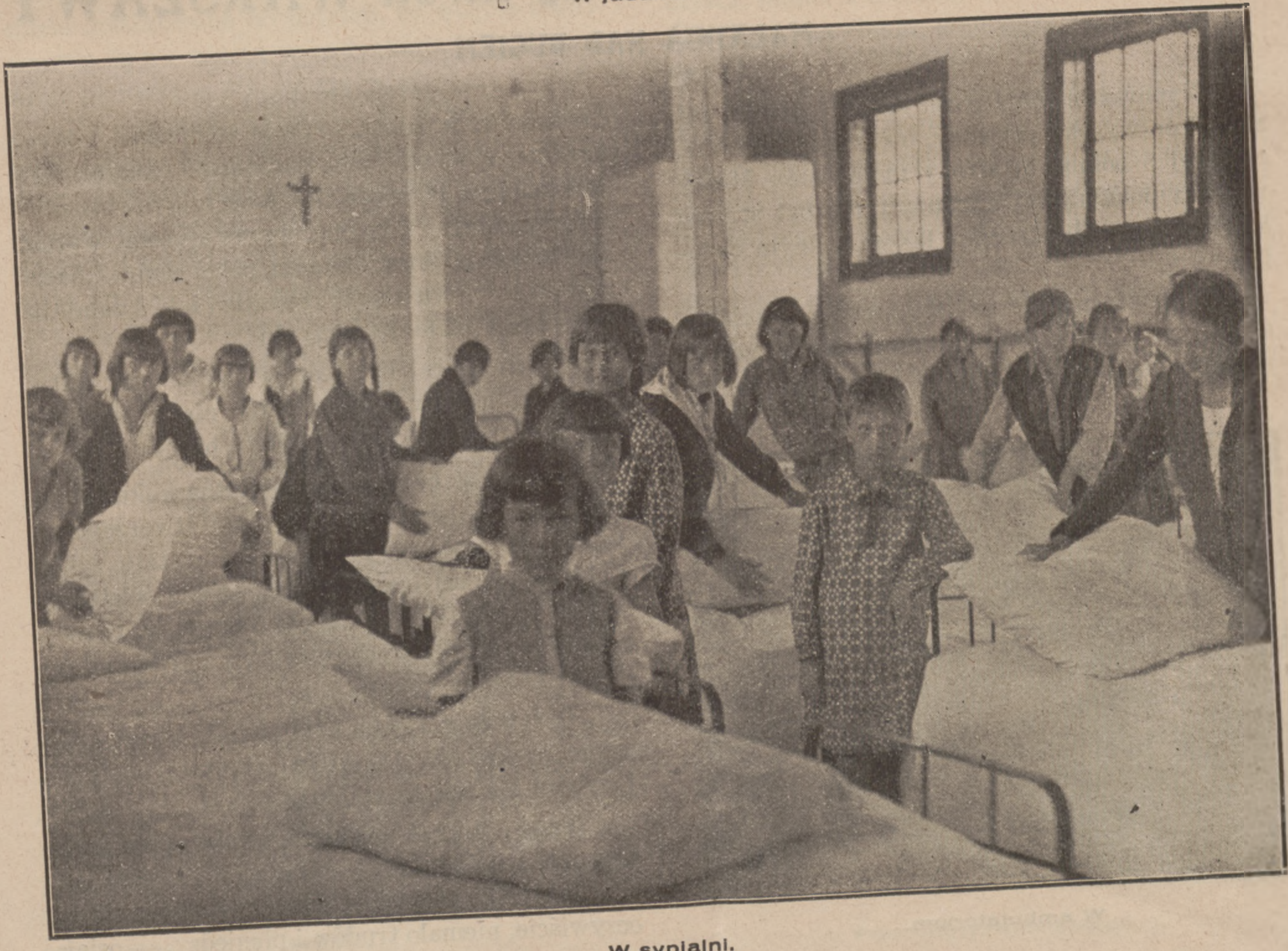
Północna część miasta bardzo potrzebuje takich ogrodów, gdyż miniaturowy ogród Krasińskich i wyżej wspomniany park Traugutta nie zaspakajają potrzeb tej, tak gęsto zaludnionej dzielnicy. Oby ogrody dla dzieci powstały i tam jak najprędzej!



Huśtawki w ogródku im. Jordana przy ul. Bagatela.



W jadalni.



W sypialni.



Zarząd kolonji z p. Zagórską.

KOLONJE RADY SZKOLNEJ m. st. WARSZAWY

MAŁKINIA NAD BUGIEM

Wyobraźcie sobie teren równy i gładki, jak stół, dość wysoko położony, otoczony drzewami, mającej z północnej strony małą osadę Małkinię, a z południowej opadający niezbyt stromo ku ślicznym nadbużańskim łąkom, pełnym kwiatów.

Wyobraźcie sobie na tym terenie, porosłym niską trawą, jak zielonym mchem, symetrycznie rzędami ustawiane w dużych odstępach, baraki drewniane, wysokie, solidnie budowane, nietynkowane, z wysoko umieszczonemi oknami. To jest kolonja. Wygląda, jak małe miasto, bez ulic, z drewnianemi domami, wyrastającemi wprost z zielonego podłoża. Miasto, pełne słońca i pachnącego powiewu z nadbużańskich łąk, a zamieszkane przez małe dziewczynki.



W ambulatorjum.

Tych baraków jest dwiadzieścia kilka, a gładki, zielony teren między niemi, wygląda jak stworzony do gry w piłkę i biegania.

Same zaś baraki, wybudowane kilka lat temu przez wojsko, wyglądają jak stworzone na letnie pomieszczenie dla dzieci. Poprostu, jakby były na ten cel budowane, ze swemi wielkiemi salami na sypialnie, jadalnie i świetlice, ze swemi pokoikami dla wychowawczyń, umywalniami, składzikami na rzeczy i t. d.

Oczywiście, trzeba było zrobić remont i niejedno przerobić. Od kilku lat stały puste — i byłyby się tak marnowały dalej!

Trzeba było je wynaleźć, wystarać się o nie, urządzić...

Wszystko to jest zrobione. Kosztowało to, oczywiście, niemało trudów i pieniędzy, — osiąg-



W jadalni.

nęło się jednak wkońcu pomieszczenie, znakomicie dostosowane do potrzeb, co wogóle nigdy prawie się nie zdarza w budynkach, przeznaczonych pierwotnie dla innego celu.

Co specjalnie uderza — to ta idealna czystość dokoła: żadnych przybudówek, żadnych rupieci, żadnych parkanów, żadnych rzeczy niewiadomego użytku. Nic — tylko ściany barwy drzewa, i gładki, równy, czysty plac, porośnięty niską trawą. Masa miejsca, przestrzeni, powietrza. Są dalsze zamiary, — żeby urządzić na tym zielonym placu kwietniki, grupy krzewów, drzew. I jeszcze osobno warzywnik, któryby dostarczał własnych jarzyn. I jeszcze: maliny, porzeczki, agrest, poziomki. Własne jagody dla dzieci — wtedy będzie istny raj dziecięcy!

Dzieciom jest doskonale. Wszystko mają: powietrze, słońce, ruch, opiekę, dobre jedzenie. Przybywa im cztery do pięciu kg. na miesiąc!

Dziewczynki są podzielone na grupy — każda grupa ma swoją wychowawczynię, która z niemi sypia, jada, chodzi na spacery, na wycieczki, na pachnące, nadrzeczne łąki, na śliczne wybrzeże Bugu, albo do lasu. Jeśli która z dziewczynek zachoruje, dostaje się odrazu pod opiekę lekarki i higjenistki. Długie godziny spędza się przy łóżeczkach chorych dzieci i wielka jest radość, gdy się poprawią i wracają do domu zupełnie inne, niż wyjechały.

W razie niepogody — jest świetlica, duża, czysta, ładna, z estradą, na której można urządzać przedstawienia, wymyślać sobie różne zabawy!

Całem tem królestwem dzieci rządzi pani Zagórska. Na wszystkiem znać jej rękę. A robi to tak, jakby wszystko szło samo przez się, jakby musiało tak iść: cicho, składnie, spokojnie, bez żadnego pośpiechu, ani zamieszania. Dziewczynki ustawiają się w pary, maszerują do jadalni, wracają z jadalni, idą nad Bug, wracają z nad Bugu...

W słońcu, w pachnącem, letniem powietrzu, w zieleni...



Przy chorych dzieciach.

JÓZEF ZAORSKI, Kierownik Szk. Powsz. w Warszawie.

KOLONJE LETNIE W ZAJEZIERZU.[1]

Niewątpliwie doniosłem zagadnieniem dla naszego społeczeństwa jest zapewnienie każdemu dziecku miejskiemu takich warunków spędzenia wakacyj letnich, aby znalazło się ono poza obrębem miasta, powiem, jak najdalej odeń, by, wśród piękna otaczającej je przyrody, pokrzepiło jak najbardziej swe siły duchowe i fizyczne.

Do niedawna jeszcze, zdaje się, zainteresowanie tem zagadnieniem było niezupełnie dostateczne. W ostatnich dopiero latach powstał ruch intensywny w kierunku zakładania t. zw. półkolonij, których zadaniem jest zająć dziecko poprzez kilka godzin dziennie i uzupełnić jego pożywienie domowe. Półkolonje, zakładane w obrębie wielkiej Warszawy, stały się popularne wśród szerokich mas obywateli stolicy, tak, że w niektórych dzielnicach miasta mało się już widzi dzieci, wałęsających się samopas po ulicach. Mimo znacznych korzyści, jakie dają dziecku stołecznemu owe półkolonje, są one zupełnie słusznie uważane przez ogół wychowawców i rodziców dzieci jako półśrodek, gdyż nie umożliwiają dziecku pobytu w czasie lata wśród pól, lasów i łąk, dokąd tak żywiołowo rwie się ono.

W tym roku Warszawska Rada Szkolna oprócz półkolonij zorganizowała kolonje dla dzieci zdrowych, na wielką skalę; zainicjowała je p. posłanka Zofja Praussowa, członek Rady i przewodnicząca Komisji Opiek Szkolnych, która odważyła się powiedzieć: „Pieniądze i tereny na kolonje *muszą* się znaleźć“. I oto, mamy kolonje dla dzieci w Małkini i Zajezierzu! Jedną z nich, a mianowicie zajezierską, odwiedziłem przed kilku dniami. Pragnę w tem miejscu podzielić się z czytelnikami garścią swych wrażeń, które przeżyłem w czasie tych odwiedzin.

Przybywam na teren kolonji przed wieczerzą. Chociaż „dzień kolonijny“ ma się ku końcowi, „koloniści“ z wielkim zapałem uprawiają na obszernych boiskach różne gry, radość tryska z oczu małych zawodników. Jest to t. zw. czas „wolny“, dzieci bawią się jak chcą, lecz odbywa się to pod okiem wychowawców. Zaraz przy pierwszem zetknięciu się z kolonją, uderza precyzyjność organizacji pracy w najdrobniejszych nawet szczegółach, zasługa to jej dzielnego dyrektora, p. Aleksandra Ligaszewskiego, który wszystkie swe siły wytęża, aby kolonja była dobra, t. j., by dała dużo zdrowia i radości naszym pocieszkom. Zwiedzam tedy wszystkie objekty kolonijne, oprowadzany przez p. dyrektora i przemiłego sekretarza p. Janusza Kossowskiego, a więc: kuchnię, składy żywnościowe, stołownię, sypialnie, izbę chorych, ambulatorjum i kancelarję; wszędzie panuje wzorowa czystość, ład i porządek. Po tej miłej i ciekawej wędrówce udajemy się do pokoju gościnnego na herbatę. W czasie posiłku toczy się ożywiona dyskusja, związana z pracą kończącego się dnia i projektami na dzień następny. Bierze w niej udział „sztab“ kolonijny, złożony z pp. kierowników z p. dyr. Ligaszewskim na czele. Rozmówcy, pełni inicjatywy, energji i humoru, prześcigają się wzajemnie w pomysłach; widać, że „palą“ się oni do tej pracy i że jest ona bardzo bliską ich sercu. Już po godz. 10 wieczorem udajemy się wszyscy do sypialni dziecięcych na inspekcję t. zw. „ciszy“; konstatujemy, że wszystkie dzieci śpią spokojnie, rzeczywiście — cisza zupełna. Opuszczamy więc baraki i udajemy się do swych kwater na spoczynek.

Nazajutrz rano po spożyciu śniadania dzieci udają się, jak zwykle, w niedzielę, do kościoła garnizonowego na nabożeństwo, poczem jedne grupy zmierzają na plażę, inne na wycieczki, pozostałe zaś bawią się na boiskach. Pp. wychowawcy stale towarzyszą swym grupom, nie widać tutaj zupełnie t. zw. „łazikowania“ poszczególnych jednostek z pośród dzieci, przeciwnie, dają się zauważyć tylko grupy, bo jakże może być inaczej? — dziecko na kolonjach nietylko ma pokrzepić swe siły fizyczne, lecz także nauczyć się karnego współżycia w gromadzie.

(D. n.).

[1]) Fotografie z Zajezierza umieścimy w następnym numerze.

POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

Oparłszy się o pień drzewa, Sebastjan został tak chwilę w tym wąwozie, nie mogąc się zdecydować na to, co właściwie czynić mu należy. Był sam dla siebie zagadką, którą prędziutko rozwiązał i niemile się uśmiechnął. Wiedział doskonale, że znajduje się jakgdyby w moralnej prasie, że atmosfera, okoliczności, wszystko, co ludzie wokoło niego myśleli — pchało go w pewnym kierunku. Zresztą, czyż trzeba było przed sobą ukrywać? On sam zapragnął przez chwilę pięknego domu i dziewczyny, której sobie zabronił, wszystkich dziewczyn, których sobie zabronił. Nie był zupełnie pewien, że, jeżeli tutaj zostanie, zrobi napewno to właśnie, czego od niego oczekują, — ale było to bardzo prawdopodobne. Jakże, przez tak długi czas, opierać się tylu ludziom, i, co najważniejsze, sobie, miłemu sobie samemu, któremu tak jest trudno cokolwiek odmówić.

Pomyślał, że Nieves wróciła do domu, że, być może, opowiedziała wszystko matce, i że obie czekają, żeby nareszcie umówić się o ślub, i na szczęście mała Nieves wydała mu się wstrętną. „Tem lepiej“ — pomyślał tchórzliwie, i odpychając plecami pień drzewa, jakby mógł sprężonemi muskułami i wolą odepchnąć rzeczywistość, ruszył ku estancji. I jakże to było świetnie, że koń stał tak blisko bramy, w cieniu i uwiązany do kołka, że nie zdążyli go jeszcze odprowadzić i rozsiodłać, że można było prędko wskoczyć na grzbiet i odjechać.

Tej nocy Sebastjan spał w stepie, płasko oparłszy głowę o kulbakę, a że do późna myślał, długo się patrzył w gwiazdy. Niewiele miał do jedzenia, ale cieszył się ordynarnie, że uciekł dziewczynie, którą pocałował, i wcale nie będzie musiał dlatego się z nią żenić.

Matka dość była zadowolona, że pojechał odwiedzić swoją „narzeczoną“, dziwiła się tylko, że chciało mu się tyle czasu spędzić na koniu i tak krótko pobywać, ale jakoś jej to wytłumaczył, żeby tylko mieć spokój. Potrzebował się namyśleć, przeprowadzić z sobą pewien układ, na różne rzeczy się namówić.

Więc przedewszystkiem chodziło o to, jak się dostać w cywilizowane strony, jak obrać drogę, żeby trafić na kolej, czy na statek, któryby wiózł spragnionego Europy? I nie w tem jeszcze była największa trudność, Dolores trzymała krótko swojego syna i pod względem finansów Sebastjan był prawie zupełnie pozbawiony własnych pieniędzy. Matka, przyzwyczajona do jego łagodności, do tego, że się jej w niczem nie sprzeciwiał, choć ciągle na niego zrzędziła, przyzwyczaiła się dawno do takiego stanu rzeczy i znajdowała w nim niewyznawaną przyjemność. Tu, w kraju męskich rządów, ona jedna z okolicznych kobiet dysponowała w dowolny sposób całym, dość dużym majątkiem i nikomu nie czuła się obowiązaną do żadnych rachunków. Czyż Sebastjan mógł ją prosić o pieniądze? I tak uważała się za bardzo dobrą, że kiedy jechał do Nieves, dała mu sto pesos, niby, żeby go zachęcić i namówić, choć pretekstowała to jakimś pilnym dla niego wydatkiem.

Książka była już pewno w Europie, w Paryżu, kto wie, może się już nawet drukowała. Czyż potrzebowała pomocy? Czy można było dla niej coś więcej zrobić? Nie, teraz ona sama była już jakby jakąś żywą siłą, prawie jakgdyby człowiekiem, prawie, jakgdyby wyciągniętą ręką, za którą można się było uchwycić i podnieść. Tak, tem wszystkiem stawała się powoli, choć może jej jeszcze wcale nie było.

Zima miała się nibyto ku końcowi i step wokoło zamienił się w jedno morze błota. Jechać bez końca ku Corrientes, czy może inną jakąś drogą starać się dostać do kolei i do Buenos Aires, by tam wsiąść na statek, nie miało właściwie żadnego sensu. Dobrze to było wykorzystać dla książki okazję, jaką przedstawiali trzej młodzi kupcy, ale samemu nadkładać tak dalece drogi, płacić, niewiadomo z jakich pieniędzy, bezecnie drogie argentyńskie koleje, nie, było to zupełną niemożliwością. O wiele prościej było dostać się do Brazylji i wsiąść na statek w Rio de Janeiro. Ostatecznie jeżdżono ku granicy i nie było to wcale tak wielką nadzwyczajnością

doczepić się do jakichś podróżnych, którzy co pewien czas zatrzymywali się na estancji.

Sebastjan spoglądał sam na siebie z niemym podziwem, jakby patrzył na małe, nadzwyczajne zwierzę, czy nieznaną roślinę. Jakże to było podobna tak się w ciągu pół roku zaledwie odmienić? Pół roku temu Sebastjan nie myślał jeszcze wcale o tem konkretnie, coby tu zrobić z książką, a już to myśl opuszczenia matki, wyjechania z estancji na długo, czy może na zawsze, zupełnie nie postała w jego głowie. Gdyby mu kto przedstawił projekt zabrania książki i wyjechania z nią samemu, żeby spróbować zawodnego, literackiego szczęścia w krajach dalekiej Europy, Sebastjan zadziwiłby się i przeraził, jakby mu proponowano zbrodnię, chociaż to było może najwłaściwsze, najmniej przedstawiające ryzyka. Ale Sebastjan nie chciał nawet myśleć o tem, żeby w wysłaniu książki na pocztę mogło być jakieś ryzyko. Więc odmienił się sam, i sam już teraz nie wiedział, dokąd to mogło dojść, co jeszcze się z nim może wewnętrznie zdarzyć. Jego młodzieńcze dwadzieścia trzy lata niepokoiły go, jak w ręku zamknięte pudełko, do którego nie można dobrać kluczyka. Były więc widocznie na świecie jakieś tajemnicze rzeczy, które się poznawało z wiekiem i to się zawsze i wszędzie nazywało doświadczeniem, o którem mówiła matka.

Na te potworne błota wyjeżdżał tylko ten, kto musiał koniecznie, zresztą zimno było bardzo i deszcze ciągle padały, nic więc dziwnego, że z estancji Los Flamencos nikt się nie odzywał po tak dziwnej Sebastjana ucieczce i że nie chciało im się myśleć o romansach, które nie uciekną i, jak to wszystkim ogólnie wiadomo, z wiosną znowu ożyją. Któregoś jednak dnia Dolores zagadnęła syna o małżeństwo i do czego właściwie doszło z małą Nieves.

Bronił się, jak dziewczyna, niezgrabnie. Przecież nie mógł powiedzieć matce, że całował Nieves i że mu to było przyjemnie. Bał się, że matka coś z tego wywnioskuje, i że wnioski te będą proste i naturalne, a więc logiczne.

— Jestem, sądzę, za młody — powiedział.

Wzruszyła ramionami, a pod jej bronzowe policzki podpłynął rumieniec gniewu.

— Twój ojciec nie był starszy od ciebie, kiedyś ty się urodził.

Sebastjan uniósł brwi i spojrzał na matkę z ukosa, ale tak, że musiała spuścić oczy. Dobrze jeszcze, że się powstrzymał i nic nie powiedział, choć wiedział, o czem pomyśleli oboje. U dziewcząt to tak zawsze, najpierw wdzięczą się i chcą, żeby je całować, a potem mają dzieci i każą mężczyźnie na nie pracować i na siebie w dodatku, oczywiście.

(D. c. n.).

ZE ŚWIATA. L. R.

O BUDOWIE KANAŁU PODMORSKIEGO MIĘDZY ANGLJĄ I FRANCJĄ.

Projekt budowy tunelu podwodnego pod kanałem La Manche, który oddziela Francję od Anglji, jest już bardzo stary. Już bowiem w roku 1867 inżynier francuski Thomé de Gaumond przedstawił go na wystawie światowej; opracowanie tego planu zajęło francuskiemu inżynierowi blisko 30 lat. W roku 1875 powstało we Francji „Towarzystwo budowy kolei podmorskiej z Francji do Anglji“, które posiada pozwolenie rządu francuskiego na podjęcie robót. Pozwolenie to kończy się dopiero w roku 1970. W kilka lat później podobne towarzystwo zawiązało się również i w Anglji. Rozpoczęto nawet prace przygotowawcze na brzegu francuskim i angielskim: zbudowano więc odpowiednie studnie i zaczęto nawet drążyć kanał, lecz w krótkim czasie musiano zaprzestać prowadzenia robót. Na przeszkodzie stanęli politycy angielscy, którzy obawiali się, iż tą drogą będzie mogła wkroczyć do Anglji armja nieprzyjacielska. Dziś te argumenty straciły już swą siłę przekonywującą. Rozwój lotnictwa przyczynił się do tego, iż podczas wojny Anglja była niejednokrotnie ofiarą ataków już nie ze strony lądowej, lecz powietrznej. Poważniejszym argumentem są interesy angielskiej floty handlowej. Towarzy-

stwa, które obsługują dzisiaj komunikację pasażerską i towarową na kanale ucierpią silnie, gdy oba lądy zostaną połączone setką pociągów dziennie. Ucierpi również komunikacja morska z Dalekim Wschodem, która jest dla Anglji źródłem wielkich dochodów. Komunikacja ta przeniosłaby się do Marsylji (port francuski) i Brindisi (port włoski). Dla Wielkiej Brytanji byłby to cios bardzo dotkliwy. O wiele więcej argumentów przemawia jednak za budową kanału i to jak najszybszą. Więc przedewszystkiem: bezpośrednie połączenie kolejowe skróciłoby czas podróży z Paryża do Londynu o 4½ godzin, co w dziedzinie komunikacji pasażerskiej gra olbrzymią rolę. Następnie — bezpośrednia komunikacja wzmoże ruch między Anglją a państwami kontynentalnemi, co będzie miało duże znaczenie dla handlu angielskiego. Znacznie wzrosłoby również bezpieczeństwo podróży, gdyż kanał La Manche znany jest ze swojej burzliwości. Właśnie dzięki burzom na kanale, w roku ubiegłym komunikacja między Francją a Anglją była w ciągu całego tygodnia przerwana. Argumenty powyższe przekonały już wielu Anglików. Ekonomiczne korzyści budowy kanału skłoniły angielskie Izby handlowe do opowiedzenia się za budową; zaś możliwość zatrudnienia na okres kilkuletni kilkunastotysięcznej rzeszy robotników skłoniła i organizacje robotnicze do wypowiedzenia się za tym projektem.

Przez cały czas trwania tej długiej przerwy, inżynierowie i uczeni dokonywali licznych pomiarów i badali możliwości technicznego wykonania tunelu. I tak, już dziesięć lat temu rozstrzygnięto jedną z najważniejszych kwestyj technicznych, mianowicie: czy budować jeden tunel o dwóch torach kolejowych, czy też dwa tunele jednotorowe, odległe od siebie o piętnaście metrów? Po długich rozważaniach, postanowiono zbudować dwa tunele, gdyż w tym ostatnim wypadku, w razach niespodziewanych ruch pociągów byłby tylko częściowo zahamowany, a powtóre przemawiał za tem wzgląd na wentylację, która jest o wiele lepszą, gdy ruch pociągów odbywa się tylko w jednym kierunku. Tak więc tunel będzie obejmował dwie główne żyły (prócz trzeciej, pomocniczej), połączone z sobą co kilkaset metrów korytarzami poprzecznemi, i biec będzie mniej więcej trzydzieści metrów poniżej najgłębiej położonych części dna morskiego. Zatem tunelowe linje kolejowe położone będą w głębokości 80 do 100 metrów poniżej powierzchni morza w kanale. Dla zabezpieczenia się przed możliwem działaniem wody, tunel ma być wyłożony metalowemi listwami, a może nawet żelazo-betonem. Wedle jednego z projektów, wiercenia tunelu odbywałyby się przy pomocy specjalnych maszyn, poruszanych dwoma motorami: jeden motor wprawiałby w ruch właściwe noże, drugi posuwałby naprzód całą maszynę. Prace byłyby prowadzone z obydwu stron jednocześnie, co znacznie przyśpieszyłoby całą robotę, która trwałaby w ciągu 3 — 4 lat i zatrudniłaby dwunastotysięczną armję robotników. Długość tunelu wynosiłaby 53 kilometry, z czego 39 kilometrów pod dnem morskiem, a 14 pod stałym lądem. Ponieważ jednak do późniejszej eksploatacji kanału trzeba będzie uruchomić dwie stacje elektryczne, o sile 20.000 koni parowych każda, przeto praca przy wykonaniu tego olbrzymiego przedsięwzięcia przeciągnie się do lat sześciu. Co się tyczy środków pieniężnych, które na ten cel należałoby zebrać, to pod tym względem niema jeszcze jednolitego poglądu. Podczas gdy jedni mówią o 3 miljardach franków, inni podają cyfrę 24 miljardów. Lecz jakkolwiek ta sprawaby się przedstawiała, to jest rzeczą więcej niż pewną, że potrzebne fundusze się znajdą, gdyż pieniądze, włożone w to gigantyczne przedsięwzięcie, będą się doskonale procentowały.

Tunel pod La Manche będzie miał, prócz znaczenia ekonomicznego i gospodarczego ,również wielkie znaczenie kulturalne. 100 pociągów dziennie, kursujących w obydwu kierunkach, będą przewozić tysiące turystów, śpieszących zapoznać się z dobrami kulturalnemi obu narodów, zamieszkujących nad brzegami La Manche'u. Teraz głos ma rząd angielski, od którego decyzji będzie zależało, czy ten wspaniały projekt będzie urzeczywistniony, czy znów będzie czekał długie lata na wprowadzenie w życie.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Letni Turniej Zadaniowy.

6. WIRÓWKA

(za rozwiązanie 3 p.).



W kółeczka naokoło ramion gwiazdy wpisać 8 sześcioliterowych wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwsze litery tych słów utworzą rozwiązanie. Początek wyrazów w górnych kółeczkach, kierunek do odgadnięcia.

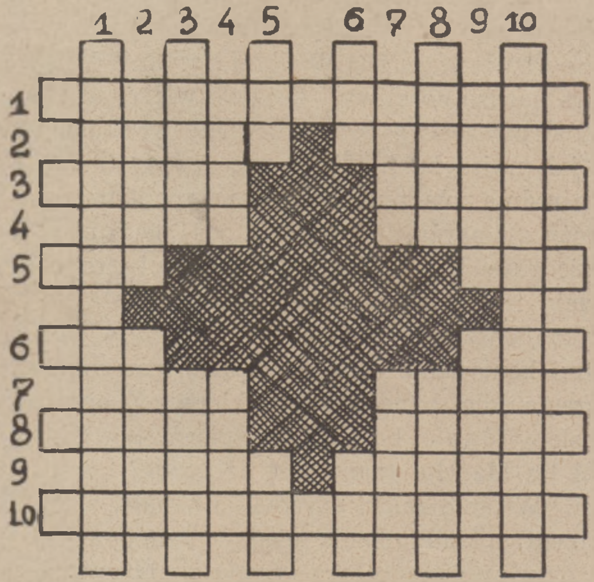
Znaczenie wyrazów:

1. Część wędki. 2. Utwór miłosny. 3. Czytelnik. 4. Rodzaj poezji. 5. Margrabia. 6. Imię żeńskie. 7. Żdzierstwo. 8. Zarządca prowincji w Grecji.

George Abbe.

7. KRZYŻÓWKA MAGICZNA

(za rozwiązanie 4 p.)



Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Lombardji. (2 p. l. p.). 2. Awantura,—Wapień ziarnisty. 3. Bogini grecka,—Ujeżdżalnia. 4. Pierwszy lotnik francuski,—Termin muzyczny. 5. Litera grecka, — Moneta japońska. 6. Imię artysty filmowego, — Tytuł turecki. 7. Rzym, — Grecki polityk (1846—1900). 8. Rzadki metal, — Płyn dezynfekcyjny. 9. Termin matematyczny, — Imię żeńskie zdrobniałe (wspak). 10. Rodzaj choroby.

Franciszek Staszak.

Warunki uczestniczenia w *Letnim Turnieju Zadaniowym* zostały podane w Nrze 26 tygodnika.

Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dnia 1 września 1929 r.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem: *Redakcja tygodnika „Świat, Dom i Szkoła", Warszawa, Hipoteczna 5. „Rozrywki Umysłowe"*.

Kierownik działu przyjmuje w lokalu Redakcji we wtorki, od godziny 1.30 — 2-ej pop.

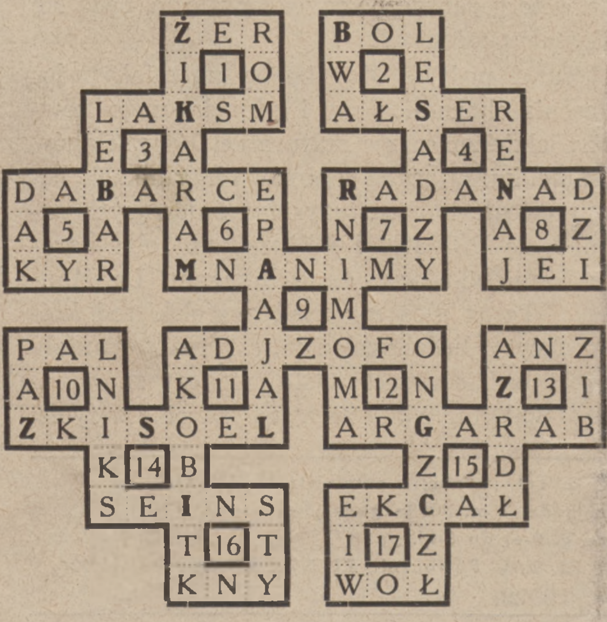
Odpowiedzi:

(6). *P. X. Y. — Warszawa.* Nad *„dziełem"* Sz. Pana głowiliśmy się dwa tygodnie, w rezultacie czego spoczęło ono w koszu.

(7). *P. Jan Mark. — Warszawa.* Nie. Prosimy o podanie adresu. *J. Ł.*

Rozwiązanie zadań z Nr. 24.

Nr: 1. WIRÓWKA



Nr. 2. Wizytówki. 1. Notarjusz. 2. Buchalter. 3. Pianista. 4. Dziennikarz.

Nr. 3. Szarada. Marabuty.

Trafne rozwiązania z Nr. 24 nadesłali pp.:

Gordziałkowski Stefan — w/m. Jarmulski Edmund — Modlin. Jarmulski Saturnin — Modlin. Kowalski Jerzy — w/m. Kozłowski Czesław — w/m. Inż. Landau Jan — w/m. Sławnicki Michał — Łuniniec, Sławnicki Teofil — Łuniniec. Kamińska Kamilla — Sulejówek. Kamiński Stanisław — Sulejówek.

Nagrody wylosowali pp.:

1. Gordziałkowski Stefan — w/m.
2. Kowalski Jerzy — w/m.
3. Sławnicki Teofil — Łuniniec.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.